

Pół wieku temu zakończyli działalność ostatni polscy rewelersi – Chór Czejanda. I niemal tyle czasu trzeba było czekać, aż ktoś przypomni sobie o tej wyjątkowej karcie w historii muzyki rozrywkowej. Dziś piosenki pisane przez Tuwima, Hemara czy Warsa doczekały się nowych aranżacji i wykonania godnego wielkiej przedwojennej tradycji.

**H**istoria rewelersów zaczęła się w USA jako praktyczne rozwiązanie technicznego problemu. Tamtejsze wytwórnie płytowe chciały wzbogacić swoje katalogi o nagrania większych grup wokalnych. Próby przeprowadzone z udziałem dużych chórów okazały się jednak zupełną porażką ze względu na niedoskonałość aparatury nagrywającej. Były to jeszcze czasy nagrań akustycznych. Stopniowo zmniejszając liczbę śpiewaków, udało się w końcu osiągnąć zadowalający efekt. Tyle że w studio zostało zaledwie pięć osób. Tak zaczęła się epoka niewielkich grup wokalnych, na okładkach i plakatach na wyrost zwanych „chórami”.

Pionierem i prekursorem nowego stylu stał się amerykański zespół The Revellers, złożony z zaledwie czterech pieśniarzy.

Zafascynował słuchaczy różnorodnością stylów, bogactwem repertuaru, umiejętnym opracowaniem utworów na głosy oraz zręczną aranżacją, która uwzględniała możliwości głosowe poszczególnych członków grupy. Wszystkie piosenki były podawane lekko, dowcipnie, z elementami sztuki aktorskiej i estradowej. Nie stroniono od swingu czy scata; tworzone z każdej piosenki swoisty mały teatr.

Płyty zespołu The Revellers szybko zdobyły Amerykę, a później Europę. W połowie lat 20. moda na męskie kwartety wokalne dotarła do Polski. Pierwszym krajowym eksperymentatorem na tym gruncie był Henryk Wars, który już w 1928 roku założył rewelersową formację pod nazwą Jazz Singers, o której pisano, że to pierwszy nasz zespół „zharmonizowany na

wzór amerykański”. Pomysł przeszczepienia amerykańskiej nowinki podjął również Władysław Daniłowski, kompozytor piosenek oraz muzyki do filmów. Zorganizował najbardziej później znany ze wszystkich rewelersowych zespołów – Chór Dana, który zadebiutował w 1929 roku na scenie kabaretu Qui pro Quo. Chór ten po kilku latach osiągnął artystyczne wyżyny i jest do dziś jednym z najbarwniejszych rozdziałów w dziejach polskiej rozrywki.

W latach 30. istniały także inne formacje tego typu. Działał Chór Eryana, Chór Orlanda, Chór Zaremby, Lipczyńskiego oraz bardzo popularny Chór Juranda. Rok 1939 przerwał działalność wszystkich. W kawiarniach okupowanej Warszawy pojawili się naśladowcy, ale to już nie było to samo. Chóry rewelersów odżyły po zakończeniu okupacji, a ostatnim, najdłużej koncertującym, był Chór Czejanda, który zakończył działalność w roku 1962. Wraz z jego rozwiązaniem zniknął z polskiej sceny styl rewelersów. Zniknął też z estrad świata. Nadeszła epoka rock&rolla.

I być może historia na tym by się zakończyła, gdyby nie przypadek w jednym z dzisiejszych domów. Gdy Anita i Arek

# W siódmym niebie rewelersów

Maciej Łukasz Gołębiowski





Lipniccy stroili pierwszy satelitarny odbiornik u swoich rodziców, natknęli się na zachodni kanał, na którym kilku elegancko ubranych mężczyzn śpiewało w ścisłej harmonii, w dodatku wywołując salwy śmiechu wśród widowni. Była to amerykańska ekipa Hudson Shad, wykonująca przedwojenne przeboje legendarnego niemieckiego kwintetu Comedian Harmonists. To był początek ogromnej fascynacji Arka tą muzyką, a wkrótce potem drażnienia przez niego tematu. Szybko się okazało, że to, co było modne za oceanem i w zachodniej Europie, istniało także nad Wisłą. Kilkuletnią przygodą były dla Lipnickiego wizyty w archiwum Polskiego Radia, gdzie na starych taśmach magnetofonowych drzemią zachowane ślady dawnych lat: to, przy czym bawiła się wtedy klubowa elita polskich miast. Arek słuchał setek utworów w najróżniejszych wykona-

łego kraju, dopieszczaniu szczegółów i zaznajamianiu publiczności ze sobą, muzycy dorosli do wydania płyty.

Ukłonem w stronę dzisiejszych oczekiwań słuchaczy jest uzupełnienie typowego u rewelersów akordeonowego akompaniamentu sekcją rytmiczną oraz dodatkowymi instrumentami. Co ciekawe, zrobiono to w momencie, gdy do końca całej sesji pozostało nagranie tylko trzech piosenek. To wtedy zespół zdecydował, że materiał może brzmieć nieco surowo jak na dzisiejsze standardy i bez wizualnych popisów znanych z koncertów Voice Bandu nieco nużyć słuchaczy. Pomysł był mocno karkołomny i wymagał od dogrywających swoje partie muzyków ogromnej dyscypliny. Perkusista Krzysztof Poliński i kontrabasista Paweł Pańta musieli się dokładnie wpasowywać w nagrany już wokół i zrobić to tak, by ca-

Dla czytelników „Hi-Fi i Muzyki” istotne jest w tej płycie jeszcze coś. Zespół, nagrywając ją, ominął główne studia nagraniowe. A w zasadzie je wysmiał. Po nagraniu kilku utworów w jednym ze znanych stołecznych studiów muzycy byli tak zdegustowani, że komisyjnie je skasowali. Pojechali do rodzinnego Piotrkowa Trybunalskiego i tam, na strychu u szkolnego kolegi, za sprawą dwóch niezwykłych ludzi – Marcina Gliszczyńskiego i Marcina „Zemana” Tymanowskiego, właściciela Zeman Audio – zarejestrowali audiofilski materiał w najlepszym znaczeniu tego słowa. Pasją Tymanowskiego jest przerabianie seryjnie produkowanych urządzeń tak, by zyskały nową jakość. Perkusję nagrano na preampach Behringera, które bywają na zakazanej liście realizatorów dźwięku na koncertach. Zeman zaprojektował do nich nowy zasilacz lamp, który wyeliminował przesunięcia dźwięku w fazie. Po dwóch tygodniach pracy urządzenie pokazało ukryty potencjał.

Modyfikacje dotyczą nie tylko mikrofonów czy głośników, ale nawet instalacji elektrycznej doprowadzającej prąd do studia. Do najbliższego transformatora wszystko zostało skonstruowane od podstaw, by prąd był czysty jak łąza i płynął po wysokiej klasy miedzi. Nawet członkowie zespołu uważali takie zabiegi za nieszkodliwe wariactwo. Do czasu, gdy po dłuższej przerwie od ostatniej sesji odwiedzili Piotrków, by posłuchać wybranych mikśów. Efekt nie był taki, jak zapamiętali, a przecież nikt nie dokonywał w tym czasie żadnych modyfikacji. Krótkie śledztwo szybko wykazało, że zmienił się tylko... kabel zasilający od przetwornika. Po powrocie do poprzedniego wszystko brzmiało, jak należy.

Voice Band to unikalny projekt na polskim rynku muzycznym. Nie tylko dlatego, że w repertuarze mają utwory, których od dawna nikt nie śpiewał i których spisanie z taśm zajęło miesiące. Nie tylko dlatego, że śpiewają je w aranżacjach przywołujących piękną tradycję. I nawet nie dlatego, że nagrali je w studiu, gdzie żaden sprzęt nie jest seryjnym produktem. Są unikalni przede wszystkim dlatego, że w swoją pracę wkładają duszę. Dzięki nim piosenki odzyskały blask. Na tle różnych nieudolnych projektów, które próbują bawić się muzyczną przeszłością, Voice Band wyrasta na mistrza gatunku. Zespół marzy o płycie z autorskim repertuarem i pozostaje mieć nadzieję, że uda się ją zrealizować. Tymczasem szukajcie albumu „W siódmym niebie”, dopóki jest w sprzedaży. Naprawdę warto. ✨



niach i wybierał te najbardziej interesujące. Unikał w zasadzie wyłącznie piosenek, które przetrwały do naszych czasów jako szlagiery. Chodziło o to, by w repertuarze przyszłego zespołu pokazać to, o czym ludzie dawno zapomnieli. Bo kolejnym etapem przygody z rewelersami miało być ich wskrzeszenie.

Voice Band – ta nazwa nieodmiennie kojarzy się z popularnymi całkiem niedawno boysbandami. W rozmowie z członkami zespołu to skojarzenie nie wywołuje konsternacji. Wręcz odwrotnie. Chęć być takim właśnie boysbandem, tyle że wprost nawiązującym do tradycji wspaniałych poprzedników. Naśladują ich w stroju, w sposobie śpiewania, w aranżacjach utworów na głosy. Trzon grupy stanowią: Tomasz Warmijak (tenor), Arek Lipnicki (tenor), Grzegorz Żołyniak (baryton), Piotr Wildlarz (bas) oraz Waclaw Turek (akordeon). Po kilkuletnich występach na estradach ca-



łość zabrzmiała naturalnie. Efektu można posłuchać na płycie, która od kwietnia jest w sklepach.

Kilkutysięczny nakład zdążył się w tym czasie niemal wyczerpać i to z pewnością nie

dlatego, że w nagraniu krążka wzięli udział Anita Lipnicka i John Porter. Artyści z góry zakładali, że projekt nie trafi do każdego, a jego koszt z trudem się zwróci. To założenie nie do końca podobało się kolejnym wydawcom, z którymi podejmowali rozmowy. Dziś śpiewacy z uśmiechem cytują komentarze usłyszane z drugiej strony biurka. „Ta płyta jest za dobra na dzisiejsze czasy” albo: „To za trudne i się nie sprzeda”. Realia rynku dla większości rozmówców były ważniejsze niż wartość projektu dla kultury popularnej i wskrzeszania historii. Na szczęście szefowie EMI w końcu podjęli rękawicę i o ile dawni rewelersi wciąż kurzą się w radiowych archiwach, to ci dzisiejsi z dumą stoją na półkach w Empikach.